Ner 33.

WE WTOREK
Dnia 29 Października 1833 roku.

ROZMAITOŚCI.

PISMO DODATKOWE DO GAZETY WARSZAWSKIÉJ.

BIAŁY WŁOS.

(Ciąg dalszy.)

Ośmielony Pikardczyk już się nie udawał do osób pojedyńczych, lecz dumnie rzucił swoje pytanie między pasażerów, którzy kupą stali przed ławicą wioślarzy. Wszyscy wlepili weń oczy, a jeden rustyk, wolarz, siedzący na ławce przy wioślarzach i palący tytuń, wyjąwszy z gęby fajkę, zaczął karcącym mierzyć go wzrokiem. — Mój Pikardczyk zaczął się mieszać. Co spostrzegłszy, skinąłem na niego, i gdy przystąpił, zapytałem go: Czemużeś mię nie pytał?—»WPan nie jesteś rodem z tego kraju,« odpowiedział. — I cóż to ma do rzeczy. — »Jako!« odpowiedział, »i WPan miałbyś wiedzieć owo podanie, którego nawet pamięć mieszkańców kraju nie mogła dochować?«—O! rybacy z *Dieppe* i rębacze lasów Bretońskich opowiedzieliby je WPanu w tysiącu pokaleczonych odmianach, w których czart grał wielką rolę. Dziś może ja jeden jestem w stanie opowiedzieć WPanu pierwotną i prawdziwą włosa białego historyą. Ale czy wierzysz w czarnoxięstwo?—»Wcale nie.«—Tym gorzéj; dzieje dawnych wieków i niewątpliwe w nich dowody, jak np: wyroki naszych parlamentów, powinny były przecież przeświadczyć WPana, że byli niegdyś ludzie, których jeniusz i umiejętność uzbroiły mocą nadzwyczajną. Przypisywano mocy piekielnéj dziwy ich sztuki. Promień święty, który powinien był oświecić ludzi i wynieść człowieka na wysoki szczebel poznania natury i przeniknienia jéj tajemnic, zgasł pod usiłowaniem szyderstwa i fanatyzmu; nędzni kuglarze, chcąc zastąpić ich w téj roli, do reszty zrujnowali ich kredyt; tymczasem przecież nic nad to pewniejszego, jakże tacy ludzie byli na świecie.—»A więc WPan wierzysz w czarowników?«—To umiejętność, lecz nie czary! potęga jeniuszu, a nie czarta! ileżto rzeczy zdawało się przedtém nadnaturalnemi, które dziś łatwo się tłomaczą za pomocą fizyki lub chemii, galwanizmu lub magnetyzmu, lubo wszystkie te umiejętności spoczywają jeszcze w kolebce, owinięte słowy, jak pieluchami. —»Dobrze więc, uwierzę we wszystko, co WPan zechcesz,« przerwał mi, »lecz opowiedz mi historyą włosa białego.«—Chciałem jednak dalszą nauką wpoić weń wiarę, i przekonać się uwagami fizyologicznemi, że się nią przejmować zaczyna;... potém, urządziwszy sobie sofę z pak kupieckich, które nas otaczały, usiedliśmy, a ja zacząłem.

Guy d'Albrot był siódmym synem, i synem naturalnym szlachetnego Hrabi *d'Oudales*, ktróry przy końcu wieku czternastego posiadał najbogatsze lenności w Normandyi, Lillebonne i Montevilliers.— W rodzie *Guy d'Albrota* było to osobliwém, że po kądzieli pochodził od Xiążęcia *Ryszarda bez bojaźni*, w związku krwi z łoża nieprawego, a czasem i Kazirodzkiego, obejmującym czas czterech wieków, gdzie ani jedno ślubne stadło szeregu tych długich po sobie następujących jeneracyj nie przerwało.

Guy, pogardzony od swych braci, wykształcił się w szkole nieszczęść. Unikał zamku swego ojca, zkąd go upokorzenie wypychało; błąkając się po bogatych brzegach Gonfrevillu i St. Vigor z uniesieniem wodził okiem po pagórkach, drzewami porosłych, które wężykowato pochylały się w doliny pod jego nogami, lub niknę-

ły w obszernem korycie, które *Sekwana* przy swém ujściu przed nim roztaczała.— Tu był wolny, wznosił dumnie głowę i zawsze tylko z głębokim żalem, powracał do domu ojczystego, kiedy cienie wieczorne mieszały się ze mgłą rzeki. W domu zastawał sześciu braci, siedzących wygodnie w środku wielkiéj sali, wybitéj rogożami z sitowia i słomy, przed ogniskiem, na bogatéj ławie poręczowéj, któréj środek zajmował sam szlachetny Hrabia *d'Oudales*; u nóg ich leżały charty i psy gończe; bawili się rozmową o polowaniu i turniejach, o psach, i sokołach, o gonitwach na ostre i o kruszeniu kopij, a to wszystko dla nauki i zbudowania domowników. *Guy*, widząc uwagę wszystkich natężoną na szlachetne rozmowy, i mniemając się wreszcie bezpiecznym we mgle dymu, napełniającym salę, chciał bojaźliwie, niepostrzeżony, przysunąć się do zwyczajnego miejsca swego, na ławce dla paziów i masztalerzy; lecz bądź, że sokoły nagle przestraszone, czyli obudzone, dzwoniły w dzwonki, na ich szyjach wiszące, trzepocąc skrzydłami, bądź że przytłumione warczenie psów zdradziło przybywającego, krótko mówiąc: powitany został poważném upomnieniem ojcowskiém za niedbałość w słuchaniu tych szlachetnych rozmów, i przerażony wzrokiem wzgardy sześciu par oczu, które zdawały się przemawiać: »czyliż on do tego stworzony, aby mógł sobie podobać w sprawach tak szlachetnych?«

W rzeczy saméj *Guy d'Albrot*, wbrew zwyczajowi synów dobrego urodzenia, nie umiał ani wywijać lancą jesionową o żelezcu i chorągiewce herbownéj, ani zdejmować pierścieni, ani z rumaka w wielkim galopie roztrzaskać pałką stary zardzewiały kask, wiszący na słupie w pośród pola sławy, ani innych podobnych sztuk, zdobiących człowieka dobrego urodzenia; nie umiał ani toczyć zręcznie konia, ani układać psa, ani puszczać przy gwizdaniu zakapturzonego sokoła na skowronki. Cóż więc umiał biedny ten chłopiec? umiał czytać! i to samo byłoby już w oczach sześciu jego braci jawnym dowodem, że pochodzi z prostego stanu.

Tak jest, *Guy d'Albrot* umiał czytać, dzięki kapelanowi zamkowemu, który, skończywszy teologią, zasmakował był w naukach świeckich, i pod suknią zakonną i postacią pokory ukrywał umysł oświecony.

Po rannéj mszy Ś. xiądz *Euzebi* (czyli *Bertram*, jak chcecie, ponieważ sobie imienia jego nie przypominam, lubo późniéj policzony został w poczet Świętych), wszystek czas swój i pracę swoję poświęcał gorliwie swemu uczniowi dla obudzenia w nim wyobraźności. Nauczył go najprzód czytać dzieła mnicha Brabanckiego reguły Ś. *Franciszka*, Wilhelma *de Rujsbrock*, zwanego *Rubruquis*, i podróże świeższe, lecz nie mniej dziwne, szlachcica Angielskiego *de Mandeville*, rodem z Normandyi. W tém czytaniu znajdował *Guy* niewymowną rozkosz. Jednego dnia, przeczytawszy rozdział, gdzie *Mandeville* mówi o wężach w Sycylii, pożerających dzieci z nieprawego łoża, *Guy*, nagle się o siebie samego przeląkł. »Jestże to prawda, szanowny ojcze?« rzekł głosem tkliwym.— »Może to bydź prawda,« odpowiedział nauczyciel, widząc otwartą do swojego celu drogę, »są jednakże sposoby zaklęcia tych szkodliwych istot; jest to najmnéj trudnym skutkiem owéj ukrytéj sztuki, którą posiadają niektórzy polubieńcy umiejętności, nadto w naszych czasach potwarzani; albowiem sami ich prześladowcy korzystają z ich odkryć. Niebyłże czarnoxiężnikiem sam *Roger Bacon*, który w wieku przeszłym znowu odkrył szkła palące, i naprowadził na sztukę robienia prochu, co służy dziś w bitwach i może z czasem odmienić postać ziemi? Mój synu, jeżeli potęga Boga jest bez granic, potęga jeniuszu ludzkiego sięga niebios.«

Pierwszy krok był uczyniony; uczeń wypytywał się znowu, a nauczyciel objaśniał mu, jak przez wyrachowane kombinacye kruszczów, przez mieszaninę soków roślinnych, mocą wejrzenia i woli, a nawet pewnych jestów, wykonanych w téj życia atmosferze, która każdego otacza, ludzie posiadali potęgę, któréj tylko błąd i niewiadomość złorzeczyć śmiały.

Guy wziął się znowu z zapałem do tych xiążek; zdumiał się na nowo (i zdumienie tą razą, malujące się na jego twa-

rzy, pomieszane było z radością, lecz nie z bojaźnią), czytając miejsce w xiążce *Rubruquisa*, że z tamtéj strony *Cathay* znajduje się okolica błogosławiona, gdzie ludzie, wolni od niedołężności wieku, żyją długie lata i umierają nie znając starości. Myśl ta długiego życia i młodości wieczystéj napełniła wyobraźnią *Guy d'Albrota* uczuciem radości, tułackiem jeszcze, lecz słodkiem, jak nadzieja. »Mój ojcze,« rzekł, »bydźże to może?« — »Nie wiem, moje dziecię,« odpowiedział kapłan; »lecz niewiadomość moja w tym względzie nie upoważnia mię do zaprzeczenia tego: może ci ludzie posiadają wspólnie tajemnicę magiczną.— Chociaż nie byłeś w *Cathay*, musiałeś wszakże słyszeć o kilku istotach, które zdawały się znać sztukę przedłużenia swego życia za granicę zwyczajną. Hebrajczykowie, Arabowie, Grecy, wierzyli, że to bydź może. Odmłodnienie *Ezona* przez jego córkę *Medeę*, lubo policzone jest do rzędu bajek, może nie jest dla tego mniéj prawdziwe. Wiesz historyą o owym żydzie wiecznym, który, jak mówią, dziś jeszcze chodzi po świecie.« Młodzieniec słuchał tego wszystkiego z uniesieniem. Cudne opowiadania *Mandevilla* i *Rubruquisa*, i objawienia *Euzebiego* napełniały serce jego życzeniem gorącém umiejętności i podróżowania: ostatniéj téj chęci wola ojca jego była na przeszkodzie, lecz umiejętność była w jego mocy. Tego samego wieczora, skoro wszyscy w zamku pozasypiali, zamknąwszy się z nauczycielem swoim w małéj izdebce, która kapelanowi służyła za schronienie, wziął od niego pierwszą lekcyę.

Tak *Guy d'Albrot* stanął już na drodze, do prawdy wiodącéj, i chciwym wzrokiem rzucał na owoc umiejętności, który często w rękach naszych staje się trucizną: Teraz chcę wam dać go poznać z innéj strony, nie mniéj potrzebnéj do zrozumienia mojego opowiadania; potém przyrzekam pospieszyć do rzeczy; widzę bowiem niecierpliwość waszą usłyszenia końca o białych włosach.—»A! tak jest,« odpowiedział Pikardczyk.

Guy d'Albrot był piękny i dumny z téj piękności, która była piętnem, cechującém wszystkich jego przodków łoża nieprawego.

Z téj strony przynajmniéj nie wzbudzał wzgardy, lecz zazdrość swych sześciu braci, żywych obrazów szlachetnego pana *d'Oudales*, których twarze rycerskie godne były kryć się pod przyłbicą, a które szabla porąbać mogła bez żalu. *Guy* kochał się w swéj piękności tylko przez zemstę; lecz próżność jego, tyle znajdowała w niéj dla siebie upodobania, iż nie było środka, któregoby nie używał dla jéj podniesienia, ku wielkiéj zgryzocie swoich sześciu braci, którzy nie mogli zaprzeczyć mu w tym rodzaju nad sobą wyższości. Lubo tylko, jak słudzy i paziowie, nosił włosiennicę, gdy tymczasem bracia jego nosili koszule z płótna najcieńszego; lubo się opasywał tylko szerokim rzemieniem ze skóry Irlandzkiéj, u którego wisiała prosta kaleta aksamitna, gdy tymczasem bracia jego nosili pasy, nabijane srebrnemi ćwieczkami, z łańcuchami i pieczątkami złotemi; lubo czapka jego nie miała zupełnie formy lejka, i nie była tak wysoka, jak braci; lubo nosy u trzewików jego mniéj były długie i mniéj zakrzywione; pomimo to jednak pokojowe zamku, równie jak mieszczki i wazalki tego państwa, kłaniały mu się z wyrazem podziwienia, gdy przechodził; tak zgrabnie wszystko to na nim leżało. I nie założyłbym się, że pochlebny ten wyraz nie zajmował tyle myśli jego, ile projekta umiejętności o podróży, kiedy, w marzeniach, znajdował się na górach *St. Vigor*. Dowodem tego zdawało się bydź to, że im bardziej postępy jego w umiejętnościach skrytych wzrastały, im bardziéj myśl jego zwracała się ku celowi, który mu czytanie podróży *Rubruquisa* wskazało; życie jego się przedłużało, a młodość i piękność niezwiędle się utrzymywały.

Od lat czterech *Euzebi* otwierał mu skarby rozległych wiadomości swoich, lecz xiądz *Euzebi* nie posiadał wcale tajemnicy, któréj *Guy d'Albrot* z całą siłą gwałtownego zapału swego pragnął. Chiromancya, nekromancya, źwierciadła i szkła, pierścienie i drogie kamienie z napisami magicznemi, kruszcze sympatyczne, kamienie konstelacyjne, talizmany i wszystkie podobne produkta umiejętności, do których wówczas może za nadto przywiązywano wagi, użyte we wszystkich swych kształtach,

w zupełnéj sile swych wpływów, wcale nie obiecywały skutku, za którym młody uczeń gonił. *Euzebi*, znużony ustawiczném jego naleganiem, wyznał mu szczerze i w prostocie serca, że się nie czuje bydź zdolnym, doprowadzić go do mety, którą sobie zamierzył. »Znam tylko« rzekł mu, »filozofów Arabów, którzy się szczęśliwie trudnili badaniami tego rodzaju; albowiem Arabowie,« dodał, »zawsze nas przewyższali w części umiejętności tajemniczych.« I z tą samą skromnością przywodził wsławione imiona Arabów filozofów: *Al-Mansora*, *Messa-Allah*, *Zahola*, *Al-Bohazena*, *Ali-Rodoana* i tyle innych gwiazd, świecących w prawdziwéj świątyni mądrości.

Od tego czasu *Guy* myślał tylko o podróży na Wschód; los podał mu do tego zręczność szczególnym sposobem.

W owym czasie zdarzyła się krucyata przeciw Turkom, którzy pod dowództwem swego Cesarza *Bajazeta* wtargnęli byli do Węgier. Rycerze Francuzcy, mając na swém czele Xiążęcia *de Nevers*, starszego syna Xiążęcia Burgundyi, spieszyli gromadnie na pomoc Węgrom. Hrabia *d'Oudales* nie zaniedbał korzystać z téj okoliczności dla zaprawienia w tak szlachetnéj wyprawie synów swoich do dzieł wojennych. Kazał ogłosić w swych państwach wici do pospolitego ruszenia wszystkiéj szlachty i swoich wazalow, którzyby chcieli odnieść sławę i wieniec waleczności. Wybrawszy przy téj sposobności od swych wazalów ofiarę na wyprawę świętą; napełniwszy szkatułę groszami z barankiem i talarami z owcą (co wszystko było ze szczerego złota), zgromadził około siebie jazdę i piechotę, rynsztunek wojenny wszelkiego rodzaju, proce dawnych Normanów, działa i bombardy nowych Francuzów; potém, pięknego jednego poranku, po jutrzni, mszy świętéj i śniadaniu, ruszył z dóbr swoich *Oudales* i *Lillebonne*, nieprzeczuwając wcale, że do nich już nie powróci; jakoż w rzeczy saméj już nie wrócił; chociaż bowiem sam i drużyna jego przybyli na pole sławy w kirasach i koszulach pancernych z dobréj stali Medyolańskiéj, w szyszakach i przyłbicach, uzbrojeni tarczami, mieczami i halabardami, polegli jednak, on i sześciu pra-wych synów jego, od Tureckich damascenek na płaszczyznach Bulgaryi, gdzie okrutny Bisurman siekł pieszych i jezdnych bez litości, jak kapustę. Panie, świeć nad ich duszami! Nie mówmy o nich więcéj i wróćmy do jednego potomka, pozostałego z tego szlachetnego plemienia.

Guy d'Albrot znajdował się w bitwie pod *Nikopolem* w orszaku ojca swego, lecz nie jak żołnierz, ponieważ szlachetny pan *d'Oudales* od dawna już był osądził, że najmłodszy syn jego, poświęciwszy się czytaniu xiążek i naukom szkolnym, nie zdał się na nic więcéj, jak chyba na mnicha lub podsędka; wziął go z sobą dla tego jedynie, aby był świadkiem odwagi i waleczności jego i sześciu braci swoich, i aby kiedyś, spisawszy dzieła ich na pięknym pargaminie, okraszonym ładnemi malowidłami i portretami, wzbogacił niemi kroniki Normandyi. *(Dalszy ciąg nastąpi.)*

Mussin-Puszkin, kurator uniwersytetu Rossyjskiego w *Kazanie*, zwrócił r. 1827 uwagę Ministeryum Publ. Oświecenia, jak potrzebną byłaby w Rossyi nauka języka Mongolskiego, tak ze względu na polityczne i handlowe stosunki z narodami, mówiącemi tym językiem, jakoteż względem badań naukowych o religii lamajskiéj i o dziejach Azyi wschodniéj, szczególnie wieków średnich. Tym końcem upoważniony został kurator wysłać dwóch uczniów do *Irkucka*. Ci, z których jeden nazywa się *Kowalewski*, a drugi *Popoff*, bawili przez lat pięć, to w *Irkucku*, to w *Kiachcie*, to między Buryatami z tamtéj strony *Bałkału*. *Kowalewski* towarzyszył missyi Rossyjskiéj do *Pekinu*, *Popoff* zaś udawał się do *Urgi*, stolicy północnéj *Mongolii*. Obaj uczynili wielkie postępy w zamierzonéj nauce, i badani przez P. *Schmidt*, zdolnymi uznani zostali na professorów języka mongolskiego. Jakoż niezwłocznie mianowano ich na te miejsca, i jest to pierwsza professura języka Mongolskiego w Europie. Drukarnia uniwersytetu Kazańskiego zakupiła od akademii nauk Petersb. czcionki mongolskie, celem drukowania xiążek elementarnych w tym języku.